

DONALD LOWRIE

**SAN FRANCISCO, 1911 ROK.
DONALD LOWRIE, UZDOLNIONY PISARZ,
ZOSTAJE WARUNKOWO ZWOLNIONY
Z WIĘZIENIA STANOWEGO SAN QUENTIN
I RYZYKUJĄC WSZYSTKO ROZPOCZYNA
KRUCJATĘ O GODNE
TRAKTOWANIE WIĘŹNIÓW.**

**CHOĆ JEGO ODWAŻNA KSIAŻKA STAJE SIĘ
BESTSELLEREM, SZYBKO ODKRYWA,
ŻE WIĘZIENNE MURY SĄ NICZYM
WOBEC BARIER, KTÓRE
DZIELĄ SPOŁECZEŃSTWO.**

MOJE ŻYCIE NA WOLNOŚCI

Wydawnictwo Horyzont Idei przedstawia:

DONALD LOWRIE

Moje życie na wolności

(1915)

Wydawnictwo Horyzont Idei, Damian Tarkowski, Polskie Wydawnictwa Niezależne, Toruń
2023 r.

www.hoid.pl www.sklep.hoid.pl

Facebook.com/HORYZONTIDEI

E-mail: kontakt@hoid.pl

ISBN: 978-83-65185-62-4

© Damian Tarkowski, Wydawnictwo Horyzont Idei, Polskie Wydawnictwa Niezależne,
Toruń 2023 r.

ROZDZIAŁ I

Pierwszy sierpnia 1911 roku!

Dla ciebie ten dzień prawdopodobnie nic nie znaczy, ale dla mnie jest to dzień, którego nigdy nie zapomnę, moment wyznaczający nową epokę w moim życiu – życiu do tej pory pełnym tragicznych doświadczeń i mocnych wrażeń. Od tamtego czasu moja egzystencja jest równie barwna, o ile nie tragiczna, choć w nieco inny sposób.

To właśnie tego dnia, po dziesięciu latach spędzonych za stalowymi kratami i kamiennymi murami, dziesięciu latach w pasiakach, pośród ludzkiej degradacji, zostałem warunkowo zwolniony z więzienia San Quentin.

Dziś to więzienie jest domem załamanego byłego lidera politycznego z San Francisco, miejscem życia setek pogrążonych w beznadziei mężczyzn i kobiet, żywym grobem prawie dwóch tysięcy istot ludzkich, z których każda jest trybikiem w ponurym, mielącym kole ludzkiego postępu, ponieważ żaden człowiek cierpiący z powodu złamanego życia w więziennej celi nie jest mniej ważną jednostką w ewolucji ludzkości niż nadziany król życia, rolnik z motyką w ręku czy pastor. Jeszcze nigdy dotąd nie żyła, i także obecnie nie ma żadnej istoty ludzkiej, która kiedyś by nie służyła lub aktualnie nie służy swojemu ważnemu celowi w wielkim planie rzeczy.

Fakt, że każda istota ludzka przychodzi na świat z ukrytymi skłonnościami, pewnymi cechami charakteru oraz dobrze zdefiniowanymi upodobaniami, zawsze był dla mnie przyczynkiem do refleksji. Wierzę, że wszelka myśl każdej istoty ludzkiej ma ogromną wartość.

Żyłem z tymi wszystkimi istotami ludzkimi w San Quentin, i z dwustu tysiącami innych w więzieniach rozsianych po całym kraju, każdego dnia i o każdej godzinie od mojego uwolnienia, i prawdopodobnie będę tak już żył przez resztę mojego życia.

Kilka tygodni przed moim zwolnieniem warunkowym redaktor naczelny pisma „The Bulletin” przybył do San Quentin, aby odwiedzić przyjaciela, który odsiaduje czternaście lat. Czekać w biurze naczelnika więzienia, aż jego przyjaciel zostanie przywieziony z fabryki juty, redaktor naczelny, zgodnie z sugestią naczelnika, przeczytał „zaakceptowany” rękopis, który został napisany przez jednego z więźniów. Była to opowieść o chłopcu, który uciekł z domu na wsi, wstąpił do cyrku, popadł w niełaskę, trafił do więzienia za stosunkowo błahe przewinienie i zmarł tam w ramionach starego skazańca, nie informując o tym nikogo ze swoich bliskich. Historia ta wywarła na redaktorze wrażenie i poprosił on o spotkanie z autorem.

Kiedy naczelnik wyszedł ze swojego prywatnego gabinetu i podszedł do mojego biurka w sąsiednim pokoju, gdy tylko na niego spojrzałem od razu wiedziałem, że zapyta mnie o coś niezwykłego.

– Wiem, że nie przyjmujesz gości – zaczął – ale w moim biurze jest pewien pan, który chce się z tobą zobaczyć i myślę, że powinieneś się z nim spotkać. Prawdopodobnie wyjdzie ci to na dobre.

Zapytałem, kto to jest i, gdy mi powiedziano, odruchowo zgodziłem się wejść. Wielokrotnie słyszałem o tym człowieku, i były to niezbyt przychylne rzeczy, więc byłem zupełnie nieprzygotowany na to, co nastąpiło później.

Zamiast, jak się spodziewałem, spotkać zadowolonego z siebie, zadufanego, nieprzejednanego ogara, uściśnięm dłoń wysokiego, dobrze zbudowanego, łagodnie mówiącego mężczyzny w średnim wieku. Jego mocny uścisk sprawił, że przeszedł mnie prąd od samych stóp, który następnie przetoczył się w górę do mózgu i instynktownie zrozumiałem, że spotkałem swojego sprzymierzeńca. Po przywitaniu się pozostałem w pozycji stojącej, jak to jest w zwyczaju więźniów w obecności „przełożonych”.

– Proszę usiąść – powiedział ten wysoki mężczyzna. – Dlaczego pan nie siada?

Spojrzałem na naczelnika, który przybliżył się do nas na swoim obrotowym krześle, a on skinął głową na zgodę.

– Naczelnik pozwolił mi przeczytać pański rękopis – powiedział gość, wciąż stojąc. – Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. Od jak dawna pan pisze?

- Uczę się pisać od około dwóch lat – odpowiedziałem.
- Strażnik powiedział mi, że odkąd pan tu jest, odmawia pan przyjmowania gości – zagadnął. – Dlaczego tak jest?
- Bo odbywam karę – odpowiedziałem. – Po co przypominać sobie o życiu?
- Czy nie ma pan prawa do zwolnienia warunkowego? – zapytał. – Myślę, że mógłbym dać panu pracę. Czy zechciałby pan ją przyjąć?
- Tak – odparłem, niemal z niecierpliwością – jednak prawo do zwolnienia warunkowego także obwarowane jest ograniczeniami.
- Ale ono jest właśnie dla takich ludzi jak pan. Naczelnik powiedział mi, że wspaniale zasłużył się pan w księgowości, że ma pan duże zdolności i sprawny umysł, i że zrobił pan wiele, aby pomóc swoim współwięźniom. Po przeczytaniu pańskiej historii jestem pewien, że mimo własnych doświadczeń ma pan w sobie ludzkie współczucie. Czy zechce pan dla nas pracować, jeśli uda się uzyskać zwolnienie warunkowe?
- Jasne – odrzekłem. – Pod warunkiem, że mogę wypełnić ten druk.
- W porządku – powiedział – przygotuje pan dokumenty i zobaczymy, co da się zrobić.

Wróciłem do biurka i próbowałem kontynuować rachunki, ale liczby tańczyły mi przed oczami. Zamknąłem księgę i zacząłem chodzić w tę i z powrotem. Z niecierpliwością czekałem na możliwość ubiegania się o zwolnienie warunkowe, ale bez nadziei, że uda mi się je uzyskać. Moja kartoteka więzienna była dobra, ale popełniłem to samo przestępstwo dwukrotnie, a to była przeszkoda, o którą na tej drodze do samoodkupienia potknęło się i wywróciło wielu. Doświadczenie i obserwacja uświadomiły mi, że więzień, który oczekując na przesłuchanie zwierzchników uwierzył, że „wygra”, przekona ich i zapewni sobie ich podpisy na zwolnieniu warunkowym, był nierozważny. Widziałem więźniów z doskonałymi rokowaniami, którzy zostali odrzuceni przez władze więzienia bez wyraźnego powodu. A jednak teraz zacząłem fantazjować o tym, co na zewnątrz. Podstępne uczucie pozytywnego myślenia stopniowo topiło moje wątpliwości. Przypuszczam, że ta zmiana nastawienia była spowodowana przez pozycję i władzę człowieka, który zaproponował mi pracę. Tej nocy

napisałem do niego list, załączając regulaminowy „blankiet zatrudnienia”, który miał podpisać i zwrócić. Uczynił to bez zwłoki, a ponadto napisał list do władz z prośbą o przychylne rozpatrzenie mojej kandydatury.

Może się to wydać dziwne, ale pomimo faktu, że to ja miałem być beneficjentem, buntowałem się przeciwko wpływowi, jaki ten list miał wyrzucić. Widziałem, jak wielu więźniów, z których sporo było znacznie mniej zasłużonych niż ci, których nie puszczono, uzyskało zwolnienie warunkowe nie dzięki zasługom, ale „wpływowi zewnętrznym”. Wydawało mi się, i nadal mi się wydaje, że więzień powinien uzyskać zwolnienie warunkowe wyłącznie na podstawie swojego sprawowania, swojej postawy podczas poddawania się rygorom więzienia.

Kilka tygodni później, kiedy rada zebrała się na comiesięcznym posiedzeniu, zatwierdzono moje zwolnienie warunkowe, które miało obowiązywać od pierwszego sierpnia.

Czekało mnie jeszcze siedemnaście dni i nocy. Mój wyrok został nagle skrócony o ponad cztery lata, ale te siedemnaście dni wydawało się trwać tyle, co siedemnastokrotnie pomnożona wieczność.

Być może głównym powodem, dla którego te dni tak się przeciągały, było to, że starałem się opracować metodę, dzięki której miałem nadzieję przemyścić na świat pewną ilość moich notatek dotyczących zarządzania więzieniem. Od kilku lat prowadziłem dziennik i jeszcze na sześć miesięcy przed zwolnieniem udawało mi się wydostawać notatki z więzienia bez wykrycia. Ale moja droga komunikacji ze światem zewnętrznym została nagle zablokowana, a notatki, które nagromadziły się w międzyczasie, były bardzo cenne. Gdyby mnie z nimi złapano, moje zwolnienie warunkowe z pewnością zostałoby anulowane. Przyłapanie mnie na próbie ich przemycenia oznaczałoby coś jeszcze gorszego – karcer, kaftan, być może izolatkę na rok lub dwa. Kapitan podwórza miał w zwyczaju sprawdzać wszystko, co więźniowie zwolnieni warunkowo lub zwolnieni z więzienia z niego wynoszą, a miał za sobą tak długi staż, że prawie niemożliwością było go oszukać.

Po wielu dniach zastanawiania się, w końcu postanowiłem podjąć desperackie ryzyko. Jakie to było ryzyko, opowiem w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ II

Nocą 31 lipca 1911 roku jak zwykle udałem się na spoczynek, ale tym razem nie spałem.

– Godzina dziewiąta i wszystko w porządku!

– Godzina dziesiąta i wszystko w porządku!

– Jedenasta, dwunasta, pierwsza, druga, trzecia, wszystko w porządku. – W miarę upływu godzin dobiegały do moich uszu głębokie gardłowe odgłosy strażników nocnej warty na zewnątrz. Po godzinie trzeciej wstałem z łóżka i w skarpetach na nogach chodziłem po podłodze. Nie założyłem butów – brogansów, bo nie chciałem zakłócać snu mojego współtowarzysza z celi, dożywotnika, który miał już na koncie szesnaście lat odsiadki. Jak to się często zdarzało, we śnie mój kolega mówił coś w języku Indian. Urodził się i wychował na pograniczu, w Oregonie, i jako chłopiec nauczył się rozmawiać z Indianami w ich ojczystym języku. Na jawie nie mógł sobie przypomnieć ani jednego słowa z tego dziwnego języka, ale we śnie mówił w nim z łatwością. To mogłoby zainteresować psychologów.

Innym powodem, dla którego nie założyłem brogansów, było to, że wbrew regułom więzień nie mógł chodzić po swojej celi po capstrzyku o dziewiątej, bez względu na to, jak bardzo był chory, zdenerwowany czy zmartwiony. Udręka wynikająca z listu wepchniętego przez furtkę po zamknięciu, listu mówiącego o śmierci żony, matki lub dziecka musi być znoszona przez więźnia w ciszy i na twardym więziennym łóżku. Więzienie, jak wiadomo, musi oznaczać brak ludzkich emocji i uczuć w piersi skazańca.

Trzy kroki w jedną stronę i trzy kroki do tyłu – trzy kroki w jedną stronę i trzy kroki do tyłu – trzy kroki w jedną stronę i trzy kroki do tyłu. Pomyślałem o zwierzętach, które widziałem w ZOO, kręcących się tam i z powrotem, z martwym wzrokiem zwróconym uparcie w stronę gapiów.

Pomyślałem o tysiącach śpiących wokół mnie więźniów. Przypomniałem sobie klatki, do których zaglądałem z grozą, cele dożywotników, tych z kamienną podłogą w której wydrążone były trzy wgłębienia, każde z nich wielkości ludzkiej dłoni. Czy była to ręka Boga, czy człowieka?

Ja, istota ludzka, wraz z tysiącami innych, przeszedłem przez długie lata zamknięcia w klatce, jedząc siermiężne jedzenie, ubrany w haniebne paski, popychany przy najmniejszej okazji za najmniejszy przejaw inicjatywy lub własnej woli. Przypomniałem sobie psa, którego, gdy byłem chłopcem, jeden z naszych sąsiadów trzymał na łańcuchu, i jak niebezpiecznie złośliwe stało się to zwierzę. Pamiętam, że widziałem wtedy też konia, który był zamknięty w boksie przez całą zimę i który był nie do opanowania, gdy zaprzęgnięto go na wiosnę. Pamiętam, że słyszałem o tym, jak kanarek po zamknięciu w klatce, do której dostarczano mu jedzenie, po jej opuszczeniu umiera z głodu, mając w zasięgu wzroku mnóstwo pożywienia. Pomimo to, że stanąłem na progu wolności, której każdy więzień oczekuje jako końca swojej niedoli, czułem, jak wzbiera we mnie wielka gorzkość. Najpierw się z tego cieszyłem, bo to mnie uspokajało, a potem ogarnął mnie wstręt. Nie, to ja zawiniłem, istoty ludzkie, pojedynczo, nie były odpowiedzialne za to bezsensowne torturowanie ich rodzaju. Większość z nich była biedna, a biedni ludzie nie są okrutni. Po raz pierwszy w życiu tak wyraźnie dotarło do mnie, że to nie ludzkość jest odpowiedzialna za cierpienia ludzi w więzieniach, obłąkanych w przytułkach, zakopane talenty, czy dzieci głodujące w slumsach. Odpowiedzialna za to była chciwość złota i prawa narzucone masom przez panów pieniądza w imię porządku i ochrony.

Zrozumiałem też, że zbyt wielu ludzi wychodzi stąd zgorzkniałych i rozgoryczonych, choć w żaden sposób nie mogli wpłynąć na ten swój stan umysłu. Muszę spróbować stąd wyjść i całą gorzkość pozostawić zakopaną za tymi szarymi murami. Widziałem zbyt wielu ludzi, którzy opuszczali więzienie ze swoimi martwymi jaźniami czającymi się w ciemnym kącie celi lub ponurej izolacji tylko po to, aby ślepo tam wracać, bezwiednie szukając tego, co stracili i czego nie udało im się znaleźć w blasku życia. Niektórzy ludzie wydostają się z piekła tylko dzięki dokładnemu jego zbadaniu, inni zaś przepadają w trakcie swoich rozmyślań.

I wtedy pomyślałem o młodym Gordonie, który niedawno wrócił do więzienia na drugą „odsiadkę”. Dostał wyrok dziesięciu lat. Jakże dobrze pamiętałem dzień, w którym wyszedł na wolność po odbyciu rocznej kary za pobranie sumy niewielkiego czeku z konta bankowego. Czeku, którego ważność wygasła. Gordon pochodził z dobrej rodziny – cokolwiek to znaczy – był dobrze wykształcony i zjednał sobie sympatię wszystkich więźniów, którzy mieli z nim kontakt. Po południu, po zakończeniu dnia pracy przed zwolnieniem na dziedzińcu przędzalni juty został otoczony przez swoich przyjaciół, kiedy kolejka formowała się do kolacji, i wszyscy życzyli mu „powodzenia”.

– To nie jest kwestia szczęścia, koledzy – oświadczył bez ogródek. – To kwestia woli. Nikt z nas nie chce być w takim miejscu jak to, a przede wszystkim, to się nie opłaca. Dlatego to wszystko jest nie tak. Wyjdę na prostą, bez względu na to, jak będzie ciężko. Jeśli wszyscy zrobicie tak jak ja, ci tak zwani kryminolodzy będą musieli pójść do pracy, zamiast wyłudzać od społeczeństwa pieniądze na pasożytnicze życie. Przemyślcie to i nie bierzcie tego za kazanie, macie już ich wystarczająco dużo w kaplicy w niedziele.

Był pełen nadziei, a jego inteligentną twarz rozświeślał przekonujący uśmiech. Po jego odejściu ludzie rozmawiali o nim. Jego pożegnalne słowa, wypowiedziane beznamiętnie – a jednak znacząco – żyją w wielu umysłach. Większość więźniów po zwolnieniu warunkowym lub w ogóle zwolnieniu, jest niemal natychmiast zapominana przez innych, z wyjątkiem może jednego lub dwóch bliskich znajomych lub współtowarzyszy z celi. Ale Gordon został zapamiętany i żaden człowiek nie zawahałby się postawić nawet miesięcznej racji tytoniu za to, że on „wyjdzie na prostą”.

Gordon był skutecznym człowiekiem i udało mu się zapewnić sobie posadę następnego dnia po zwolnieniu. Okazał się zdolny i szybko awansował. Kilka miesięcy po zwolnieniu poznał dziewczynę, której urok go przyciągnął. Przynaglony siłą życiową – tą, która rządzi wszechświatem – opowiedział jej o swojej przeszłości i poprosił, by została jego żoną. Zgodziła się i wkrótce się pobraли.

Minął niemal rok i przyszłość rysowała się w różowych barwach. Znowu awansował i dostawał dobrą pensję. Jego pracodawcy darzyli go ogromnym

zaufaniem, bo bardzo go lubili.

I wtedy nastąpiła tragedia. Gordon myślał, że zapłacił już swoją karę, kiedy żelazna brama zamknęła się za nim i wrócił do świata ludzi, ale tak nie było. Dość często, częściej niż ludziom się wydaje, prawdziwa kara za złamanie prawa czeka na człowieka poza więziennymi murami.

Pewnego dnia ten policjant, który aresztował Gordona za sfałszowany czek, przechodził obok biura, w którym pracował ten młody mąż – biura znajdującego się na parterze i widocznego z ulicy przez duże, szklane okna. Policjant zobaczył, że Gordon siedzi przy biurku, a obok niego stoi duży otwarty sejf.

Policjant westchnął. Przetarł oczy. Taka kombinacja jak były skazaniec w zasięgu otwartego sejfu była nie do pomyślenia, to było potworne! Widział już byłych skazańców klęczących przed sejfami z ciemną latarnią, ściemniaczami i innymi narzędziami potrzebnymi do siłowego włamania, ale coś takiego widział pierwszy raz w życiu. Pierwszy raz zobaczył jak eks-więzień stoi przed otwartym sejfem, który zaraz ma zamiar przeszukać. Nie przychodziło mu do głowy nic innego, jak tylko to, że Gordon był tam w złowrogim celu, i że on, jako funkcjonariusz prawa, powinien podjąć natychmiastowe działania.

Policjant nie wyciągnął rewolweru, ani nie zdecydował się na desperacką konfrontację. Zamiast tego wszedł swobodnie do budynku głównymi drzwiami i poprosił o spotkanie z „szefem”.

Pół godziny później Gordon znalazł się na bruku, bez pracy. Wracał do domu pieszo, aby zaoszczędzić pięciocentówkę, nagle uświadomiwszy sobie wartość pieniądza. Młoda żona, choć nosiła pod piersią małe serce, dzielnie zniosła szok, pocieszając go, że wkrótce dostanie inną posadę.

Przez sześć miesięcy Gordon włóczył się po ulicach, szukając pracy. W końcu, gdy znalazł się na krawędzi, z zaległym czynszem, żoną i dzieckiem potrzebującymi jedzenia, „zaryzykował”, przyłączył się do dwóch byłych skazańców i dokonał włamania. Złapano go i odesłano na dziesięć lat.

Kiedy po raz drugi wszedł na spaceriak, ubrany w pasiaki, nikt nie szydził, nikt się nie śmiał – z widoku samej jego twarzy wszyscy zrozumieli,

że wydarzyła się tragedia. Długo nie chciał mówić, aż pewnego dnia w końcu opowiedział, co się stało. Byłem wśród tych, którzy to słyszeli, i pamiętam, że powiedziałem sobie:

– Po co to wszystko? Skoro coś takiego spotkało go, kiedy próbował żyć uczciwie, to jaki jest sens próbować? – Wielu innych spośród nas, z których większość żyła z dnia na dzień w postanowieniu odkupienia się, gdy wyjdą na wolność, podzielało to samo uczucie.

– Ale niech was to nie zniechęci – powiedział Gordon kończąc swoją opowieść. – Bądźmy sprawiedliwi. Nie sądzę, żeby ten policjant zrobił to, żeby mnie skrzywdzić. Myślał, że chroni firmę. Popełniłem błąd, nie mówiąc im, że jestem byłym skazańcem.

I tak aż do rana chodziłem po podłodze, myśląc o dziesiątkach ludzi, których widziałem, jak wychodzili na wolność, a potem wracali.

Ale mój przypadek był inny. Nie dość, że czekała na mnie praca, to jeszcze moi potencjalni pracodawcy wiedzieli, kim i czym jestem. Ta myśl dodawała mi otuchy. Nie mogłem zawieść, chyba że wyłącznie z własnej winy.

Jak tylko wyszedłem z celi, ruszyłem do biura, żeby zobaczyć się z kapitanem podwórza. Pod pachą miałem pudełko, takie z zamkiem i kluczem. W pudełku znajdowały się nielegalne papiery, zawierające moje notatki i inne informacje zagrażające zadowoleniu z siebie i spokojowi władz więziennych.

Im bardziej zbliżałem się do biura, tym bardziej byłem zaniepokojony, aż w końcu, gdy dotarłem na stopień ganku, poczułem się, jakbym niósł skrzynkę dynamitu. Kapitan chodził tam i z powrotem z rękami w kieszeniach na wysokości bioder. Poczekalem, aż się odwróci i będzie szedł w moją stronę, zanim zwróciłem się do niego.

– Mam tu pudełko z listami i papierami, kapitanie, i chciałbym je zabrać ze sobą – powiedziałem. – Skrzynka jest zamknięta, a tu jest klucz.

Miałem nadzieję, że powie: „Och, to nic nie szkodzi”, nie biorąc klucza. Moja kartoteka, o ile wiedział, była bez skazy, a poza tym od lat pracowałem poza murami w biurze naczelnika. W takich okolicznościach nierzadko uważano za oczywiste, że więzień jest swoim własnym strażnikiem, a nawet,

pośrednio lub bezpośrednio, pomocnikiem strażnika wobec swoich kolegów. Ja nigdy nie byłem tym ostatnim, co wielokrotnie już potwierdziłem i co poświadczane było w aktach San Quentin, w związku z czym kapitan nie był wobec mnie nastawiony przyjaźnie. Kiedy wziął klucz do ręki, poczułem jak słabną. Czułem, jak moje życie wisiało jak na cienkim włosku pajęczyny. Gdyby odkrył charakter papierów w pudełku, wróciłbym do celi.

Podczas gdy ja stałem, starając się sprawiać wrażenie obojętnego, on otworzył skrzynkę i podniósł paczkę z kartkami, którą położyłem na górze.

– Och, a więc przypuszczam, że to wszystko jest w porządku? – zapytał, patrząc na mnie badawczo.

– Oczywiście, kapitanie – odparłem głosem wskazującym na to, że traci czas.

Roześmiał się, zatrzasnął sprężynowy zamek i podał mi klucz.

– Po przebraniu się, w drodze do wyjścia możesz przyjść i odebrać pudełko – powiedział.

Podjąłem desperackie ryzyko i wygrałem. Gdyby sprawdził zawartość tego pudełka, prawdopodobnie byłbym do dziś w San Quentin, a książka *Moje życie w więzieniu* nigdy nie zostałaby napisana.

Razem ze mną z zakładu karnego wyszło kilku innych więźniów, wszyscy na zwolnieniu warunkowym. Wóz był zatłoczony, a ja cieszyłem się, że mogłem usiąść obok kierowcy. Gdy konie napięły liny powozu i ruszyły w górę lekkiego wzniesienia w kierunku szczytu wzgórza, które schodzi do drogi prowadzącej do brzegu zatoki, poczułem się dziwnie. Wrażenie jazdy, bycia niesionym nad ziemią zamiast chodzenia, było nowością. Po raz pierwszy od wielu lat byłem w poruszającym się pojeździe. Minąłem stanowiska wartownicze, minąłem cmentarz (już usunięty), minąłem „bramkę patentową”, minąłem ceglane podwórze, a droga ta wciąż prowadziła mnie ku wolności. Zauważyłem, że była to dobra droga i przypomniałem sobie ekipę od budowania dróg, która każdego ranka opuszcza więzienie i każdej nocy wraca. Ta droga została zbudowana przez moich współwięźniów i była ich zasługą. Od tego czasu zwiedziłem cały stan

Kalifornia, ale nigdzie, z wyjątkiem wykończonych fragmentów nowej autostrady stanowej, nie widziałem lepszej drogi.

W końcu dotarliśmy do stacji Green Brae. Był to ten sam stary budynek przypominający stodołę, ale został niedawno pomalowany. W oczekiwaniu na pociąg staliśmy w grupach i rozmawialiśmy. Zagaił mnie adwokat, który odsiedział dwa lata. Za murami był zamknięty w sobie, wykazywał niechęć do interakcji z otaczającymi go więźniami, ale teraz wydawał się spragniony towarzystwa kogoś, z kim mógłby porozmawiać.

Kiedy pociąg wyjechał z tunelu i zatrzymał się na peronie, zauważyłem, że jest elektryczny, i przypomniałem sobie wrzaskliwe gwizdy, które tak często słyszałem we wczesnych godzinach nocnych, kiedy w wielkim więzieniu było już tak cicho. Pojechałem do San Quentin pociągiem parowym, ciągniętym przez przestarzałą lokomotywę.

Niezręcznie wgramoliliśmy się na pokład, większość wsiadła w pobliżu lokomotywy, choć prawnik i ja weszliśmy do drugiego wagonu. Małe podłużne siedzenie przy drzwiach było wolne, więc usiedliśmy. Mój towarzysz od razu zaczął mówić w najbardziej niefrasobliwy sposób, zupełnie jakby był przyzwyczajony do jazdy pociągiem każdego ranka, ale ja czułem się skrępowany i chciałem wyrzucić przez okno. Gdybym był sam, wybrałbym miejsce po drugiej stronie.

Po chwili do wagonu wszedł gazeciarz i prawnik kupił wszystkie trzy poranne gazety. Wręczył mi jedną. Próbowałem czytać, ale nie mogłem. Sądziłem, że wszyscy w wagonie wiedzieli, kim jesteśmy, a poza tym to, co dotyczyło mnie, pasażerów, pakunków, walizek, mijanego krajobrazu, było w tym momencie o wiele bardziej atrakcyjne niż gazeta.

W Sausalito zgubiliśmy się w tłumie pasażerów spieszących do łodzi z innych pociągów, a ja czułem się odtąd bardziej swobodnie.

– Zejdźmy na dół i zjedźmy śniadanie – zaproponował mój towarzysz, gdy weszliśmy na pokład łodzi.

Od lat nie mogłem się doczekać podróży przez zatokę. Raz po raz wyobrażałem sobie, jak stoję na górnym pokładzie, obserwując scenerię i oddychając wolnym powietrzem. Ale bałem się, że jeśli odmówię, zranię jego uczucia, a poza tym w więzieniu nie zjadłem śniadania.

W jadalni usiedliśmy przy jednym ze stołów i zamówiliśmy stek z polędwicy, kawę i bułki. Zauważyłem dwóch innych zwolnionych więźniów, którzy siedzieli przy pobliskim stoliku. Obaj zamówili ciasto.

– Idą na całość – skomentował mój towarzysz, gdy zwróciłem na nich jego uwagę.

Skrycie im zazdrościłem, ale nie miałem odwagi tego powiedzieć. Uznał, że zgadzam się z protekcjonalnym osądem ukrytym w jego słowach.

Skończywszy śniadanie, poszliśmy na górę i stanęliśmy na pokładzie promu. Szukałem oznak wielkiej pożogi, o której czytaliśmy w gazetach i czasopismach wschodnich (gazety kalifornijskie nie są dozwolone w zakładzie karnym), ale z daleka widziałem tylko nowe i wielkie miasto. Gdy zbliżaliśmy się do brzegu, mój towarzysz stał się niespokojny.

– Spodziewam się tutaj spotkać moją żonę – oznajmił – więc pożegnam się już teraz. Przyjedź i odwiedź mnie kiedyś.

Gdy tylko łódź nabrała prędkości, popędził na groblę, zrzucił walizkę i objął drobną, ciemnowłosą kobietę, która czekała na niego pod wewnętrzną arkadą budynku promu. Odeszli wtuleni w siebie, uśmiechnięci i rozmawiali jak dwa szczęśliwe ptaki. Czy kiedykolwiek czuleś, że wolałbyś być kimś innym, kimś innym niż jesteś? Miałem właśnie taką myśl, gdy wyszedłem na zewnątrz w blasku i zgiełku Embarcadero, gdzie zatrzymałem się, aby poszukać w kieszeniach adresu moich pracodawców.

– Jak daleko w górę Market Street jest numer „siedemset”? – zapytałem mężczyznę w szarym garniturze i słomkowym kapeluszu, który opierał się o jeden z filarów i czytał gazetę.

– Siedem przecznic stąd – odpowiedział, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

Nie wydawało się to daleko, więc zdecydowałem się na spacer i wybrałem słoneczną stronę ulicy. Przeszkadzał mi hałas ulicznych samochodów i pojazdów, ale starałem się mieć oczy szeroko otwarte. Rozbiegani ludzie, idący we wszystkich kierunkach, wydawali się dziwni. Nigdy wcześniej, mimo że wychowałem się w wielkiej metropolii i w jej pobliżu, nie zdawałem sobie tak dokładnie sprawy z tego, jak bardzo pełne pośpiechu jest życie.

W pewnym momencie wpadła mi w oko witryna pasmanteryjna, ozdobiona krzykliwymi krawatami i fantazyjnymi koszulami, kusząco ułożonymi na aksamitnym tle, i zatrzymałem się. Będę potrzebował ubrań – wszystko, co miałem na świecie, miałem na plecach – ale te były zbyt efektowne; poza tym miałem dużo czasu, nie będzie przecież dzwонka i zamykania śluzy.

Idąc nieco dalej, włożyłem nieświadomie prawą rękę do kieszeni spodni i moje palce napotkały... PIENIĄDZE.

Pieniądze! Byłem wtedy naprawdę wolny!

Ale czyż całe lata nie żyłem bez nich?

Wyciągnąłem je z kieszeni i spojrzałem na nie. Były tam czterdzieści trzy dolary w złocie i srebrze, pozostałość po sprzedaży opowiadań, które napisałem w więzieniu – to co zostało po złożeniu depozytu w wysokości dwudziestu pięciu dolarów u naczelnika, który miał pokryć koszty mojego powrotu, gdybym naruszył zwolnienie warunkowe.

Pieniądze! Pomimo tego, że nie miałem ich od tak dawna, nagle zabrzęczały w mojej kieszeni, a ja miałem teraz z nich korzystać w sposób umiarkowany i rozsądny. Większość ludzi wychodzących z więzienia posiadała tylko pięć dolarów, z którymi miała stawić czoło światu, podnieść z ziemi przerwana nić życia, a ja miałem osiem razy tyle. Byłem zachwycony.

Nagle ogarnęło mnie nieodparte pragnienie – pragnienie wydawania. Tylko korzystając z tej wolności mogłem udowodnić, że jestem wolny. Muszę coś kupić, choćby nie wiem co. Właśnie wtedy obdarty chłopak z piegowatą twarzą podsunął mi pudełko z gumą do żucia.

– Guma do żucia, proszę pana – spojrzał błagalnie.

To załatwiło sprawę. Oto nadarzyła się okazja do wydania pieniędzy, a on nazwał mnie „panem”. Wręczając mu dziesięciocentówkę w zamian za paczkę, rzeczywiście poczułem się wolny. W tej jednej błogiej chwili żaden milioner nie mógł czuć się lepiej ode mnie.

Brzmi to głupio, niemal dziecinnie, nieprawdaż? Ale taka była prawda, i przedstawiłem tylko nikły obraz emocji i oszołomienia, jakich doświadcza każdy człowiek, którego naturalna ekspresja została, przez lata spędzone w więzieniu, sprowadzona do nędznej nienormalności. Ta żądza wydawania

pieniędzy jest nie do zniesienia w stosunku do pięciu dolarów, do których ogranicza się „majątek” większości zwolnionych lub warunkowo zwolnionych więźniów. Jest to jedna z najlepszych ilustracji porażki represyjnego systemu więziennictwa. Z ust zwolnionych więźniów słyszałem, że na pierwszy posiłek wydali nawet dwa dolary z jedynej posiadanej pięciodolarowej monety. Zapytani o powód, nie wiedzieli dlaczego, nie potrafili odpowiedzieć.

Z drugiej strony zetknąłem się też z więźniami, którzy niechętnie wydawali każdego centa, którzy potrafili sprawić, że pięć dolarów starczało na dwa tygodnie. Narracja tej książki opiera się wyłącznie na faktach i będzie przedstawiać wiele prawdziwych historii – czasem tragedii, niekiedy komedii – dotyczących moich współtowarzyszy wędrówki w tym wielkim więzieniu zwanym cywilizacją.

ROZDZIAŁ III

Spacer w górę Market Street – minięcie siedmiu przecznic – wydawał się nie kończyć, i na długo przed dotarciem do celu przeszedłem na zacienioną stronę ulicy. W więzieniu nie można przejść więcej niż sto metrów w linii prostej. Odległość nie ma żadnego znaczenia, chyba że w pamięci, a jednak znałem więźniów, którzy praktykowali chodzenie po dwie mile każdej nocy tam i z powrotem w swoich celach. Cele w San Quentin mają siedem i pół stopy długości. Przemierzając celę tysiąc pięćset razy, pokonuje się odległość dwóch mil (3,2 km).

Gdy dotarłem do poszukiwanego budynku, wszedłem do środka i wsiadłem do windy. Działanie tego urządzenia niezmiernie mnie zainteresowało. To prawda, że widziałem i jeździłem windami przed moim uwięzieniem, ale bycie wnoszonym do góry było dziwne, wręcz nie do pojęcia. Winda sprawiała wrażenie czegoś ożywionego.

Kiedy wysiadłem na czwartym piętrze spotkał mnie chłopak i poprosił o moją wizytówkę. Zażenowany tą prośbą zrobiłem taki ruch, jakbym chciał przeszukać kieszenie, ale się powstrzymałem. Zamiast tego nabazgrałem swoje nazwisko na kartce papieru.

Po krótkim oczekiwaniu chłopiec pojawił się ponownie i poprowadził mnie przez duże pomieszczenie, gdzie kilkunastu mężczyzn i kobiet pracowało wściekle przy maszynach do pisania, a następnie zostałem wprowadzony do prywatnego gabinetu i stanąłem twarzą w twarz z wielkim mężczyzną, którego spotkałem w gabinecie naczelnika kilka tygodni wcześniej. Przywitał mnie tym samym uściskiem dłoni i poprosił, żebym usiadł.

– No i jak się pan czuje? – zapytał, częstując cygarem.

Wymamrotałem coś w stylu, że „czuję się dobrze”.

Rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem powiedziałem mu, że nie zgłosiłem się jeszcze do kuratora, jak mi kazano.

– Rano przybyła cała grupa – wyjaśniłem – i nie chciałem czekać, więc najpierw przyszedłem tutaj.

– Cóż, w takim razie lepiej od razu zejdziesz pan na dół i zamelduje się na miejscu, a potem wróci pan tutaj. Pójdziemy razem na obiad – odpowiedział.

W jakiś sposób, pomimo faktu, że był moim pracodawcą, zaproszenie na lunch nie wydawało się niestosowne. Myślę, że to nieformalny sposób, brak protekcjonalności, w jaki to powiedział, sprawił, że przyjąłem to jako coś oczywistego. Wypuścił mnie prywatnymi drzwiami, a ja wsiałem do windy, by zjechać na dół. Kiedy winda ruszyła, poczułem się lekko zdezorientowany – a jeśli spadnie? – pomyślałem. Przypomniałem sobie relację z gazety. Czytałem w niej o właśnie zwolnionym więźniu, który zginął pod pociągiem, zaraz po tym, gdy rano wyszedł z więzienia. Ucieszyłem się, gdy dotarliśmy na parter i wsiałem do samochodu jadącego do budynku „Ferry”, gdzie mieściło się biuro zwolnień warunkowych.

Na miejscu przeszedłem przez formalność wpisania się do księgi i zostałem pouczony, że muszę się tam zgłaszać pierwszego dnia każdego miesiąca i że muszę za każdym razem przynosić podpisane przez pracodawcę oświadczenie o wysokości moich zarobków i wydatków oraz ręczyć za moje dobre sprawowanie.

– I za każdym razem, gdy potrzebujesz rady lub masz kłopoty, przyjdź do mnie. Nie bój się... Jestem twoim przyjacielem – powiedział kurator, gdy odchodziłem.

Słowa te zrobiły na mnie wrażenie, wydawały się takie szczere. Jak bardzo były szczere, okaże się później.

Podczas obiadu przyglądałem się bogatym zdobieniom, jak również ludziom zgromadzonym w wyłożonej marmurem jadalni, mimo usilnych starań, by tego nie robić. Porównywałem miejsce, w którym się teraz znalazłem z tym, w którym byłem pięć godzin wcześniej. Wydawało mi się to niewiarygodne. Zdawało mi się, że zostałem przeniesiony na jakąś dziwną planetę, gdzie panowała radość, śmiech i harmonia. Orkiestra cicho grała

w oddali wśród palm, a stonowane światło dnia, odrealnione przez oślepiające światła lamp, napełniało powietrze blaskiem. Naga cela więzienna, z jej fetorem i pluskwami, wciąż stała mi przed oczami. Nie mogłem o niej zapomnieć.

Kiedy kelner przyszedł z jedzeniem, poczułem, że powinienem mu pomóc. Czekanie na kelnera przez kogoś takiego jak ja było absurdalne. Byłem przyzwyczajony do obsługiwanego samego siebie. Sam ścieliłem sobie łóżko i sam przyszywałem sobie guziki.

Kiedy podawano kawę, po raz pierwszy padło pytanie, czy mam jakieś doświadczenie w pracy w gazecie, i musiałem przyznać, że moje jedyne doświadczenie z tym fachem sprowadzało się do kilku miesięcy pracy w biurze biznesowym małego wschodniego dziennika.

– Och, no cóż, w twoim przypadku nie robi to wielkiej różnicy – powiedział ten rosyjczyk. – Wszystkiego możesz się nauczyć, a poza tym mam już dla ciebie coś przygotowanego. Ale myślę, że powinieneś najpierw wziąć kilka dni wolnego, żeby zorientować się w świecie, przyzwycząć do zmiany.

Byłem wdzięczny, że o tym pomyślał, ponieważ zmieniające się jak w kalejdoskopie wydarzenia poranka sprawiły, że byłem zdezorientowany i wątpiełem w swoją zdolność do dobrego wykonywania swojej pracy.

– Obiecałem, że udam się dziś do mojego przyjaciela w Oakland – powiedziałem – i rzeczywiście pojadę do niego dziś po południu, jeśli to w porządku.

– Czy w porządku? – zapytał. – Oczywiście, że w porządku. Jesteś wolnym człowiekiem. Idź, gdzie tylko masz ochotę, ale chciałbym, żebyś dziś wieczorem przyszedł do hotelu na kolację, oczywiście jeśli zdążysz wrócić i zechcesz przyjść.

– Chętnie – powiedziałem. – O której godzinie, i w jakim hotelu?

Podał miejsce i godzinę i rozeszliśmy się na chodniku.

Jadąc do Oakland złamałem warunki zwolnienia warunkowego już pierwszego dnia, kiedy wyszedłem na wolność – ale nie wiedziałem o tym. Mój *ticket-of-leave*, przepustka wyjściowa między innymi stanowiła o tym, że nie powinienem opuszczać stanu. Nie było tam mowy o tym, że nie wolno

mi opuszczać hrabstwa, w którym byłem zatrudniony. Później dowiedziałem się, że jedna z zasad zwolnień warunkowych zabraniała zwolnionemu więźniowi przemieszczać się z jednego hrabstwa do drugiego bez specjalnego pozwolenia. Jadąc do Oakland narażałem się na cofnięcie przepustki i powrót do więzienia na wiele lat. O zasadzie tej dowiedziałem się później w dość dramatycznych okolicznościach, o czym jeszcze opowiem.

W Oakland spotkałem się z pewnym fachowcem, a następnie udałem się do przyjaciela, któremu przez pięć lat przemyślałem z więzienia moje notatki opisujące codzienne wydarzenia za murami. Za każdym razem, gdy przemyślałem partię tych notatek, ryzykowałem odosobnienie, kaftan bezpieczeństwa, utratę nadziei na zwolnienie warunkowe i utratę „punktów” za dobre sprawowanie. Coś jednak kazało mi wciąż na nowo korzystać z tej szansy, a moje nocne zapiski prowadziłem wyłącznie z myślą o tym, że po wyjściu na wolność napiszę o okropnościach i okrucieństwach tego życia. Moim zamiarem było zrobienie tego pod pseudonimem i nigdy nawet nie marzyłem, że będę miał możliwość zrobić to otwarcie i uniknąć zemsty, którą taki czyn sprowadziłby na autora takiej publikacji w dziewięćdziesięciu dziewięciu na sto przypadków. Notatki miały na celu jednoznaczne i wprost określenie dat, faktów i nazwisk.

Kiedy opuszczałem dom mojego przyjaciela, otrzymałem te zapiski, wraz z kilkoma innymi papierami, wszystkie spięte w całość, w zgrabnej paczce. Nadal posiadam zarówno jedno jak i drugie. Podczas pisania *Mojego życia w więzieniu* nie potrzebowałem się do nich odwoływać, chyba, że jedynie w tym celu, żeby ustalić daty.

Po powrocie do miasta, w drodze do hotelu wspiałem się na wzgórze na Powell Street. Nie znałem zbyt dobrze San Francisco i nie wiedziałem, że samochody na Powell Street przejeżdżały drogą, która pozwalała na ominięcie tego miejsca, jednak doświadczenia tego dnia sprawiły, że nie miałem ochoty nikogo pytać o drogę.

Po tak długim okresie poruszania się wyłącznie na płaskich powierzchniach, wspinaczka na to wzgórze pozytywnie dała mi się we znaki. Mięśnie, których nie używałem od lat, zostały teraz uruchomione i ich ból utrzymywał się przez kilka dni.

Mój pracodawca czekał na mnie w holu hotelu, zostałem przedstawiony jego żonie i poszliśmy na kolację. Choć zaczynałem się już przyzwyczajać się do wszystkiego wokół, to tylko udawałem i starałem się sprawiać wrażenie, że jestem spokojny. Nie mogłem powstrzymać się od porównania tej jadalni z piwnicznym miejscem, gdzie swoje „posiłki” spożywają więźniowie w San Quentin^[1].

Po kolacji intensywnie spędziłem interesującą godzinę na rozmowie, a następnie, zgodnie z sugestią mojego gospodarza, udałem się na noc do jednego z hoteli w centrum miasta.

Kiedy wchodziłem na wzgórze, był dzień, ale teraz było ciemno i miriady świateł zafascynowały mnie. Rzadko się zdarza, by więzień wychodził dokądkolwiek w nocy, a oddychanie nocnym powietrzem samo w sobie było nowością. O wpół do dziesiątej wszedłem do hotelu, do którego mnie skierowano i gdzie przydzielono mi pokój. Wtedy właśnie przypominałem sobie o kopercie z adresem, którą miałem w kieszeni; kopercie zaadresowanej do naczelnika, którą polecił mi wykorzystać, pisząc do niego pierwszego dnia. Koperta przywołała scenę z jego gabinetu z tamtego ranka, kiedy to uścisnął mi dłoń i powiedział:

– Jestem ciebie pewny, Lowrie. Wiem, że ci się uda.

To była jedna z dobrych cech naczelnika – przeprowadzał rozmowę z każdym warunkowo zwolnionym więźniem, gdy ten opuszczał więzienie, i dawał mu słowo zachęty lub rady.

Usiadłem i napisałem list do naczelnika, a potem do matki. Myślałem o niej cały dzień i miałem ochotę wysłać telegram, ale przypominałem sobie, że napisała mi, że wystarczy list.

Kiedy zszedłem na dół, żeby wysłać listy, zobaczyłem w holu skrzynkę pocztową, ale zanęta świateł na ulicy okazała się zbyt silna, więc wyszedłem na zewnątrz. Przez dwie godziny chodziłem w górę i w dół Market Street, a każdy oddech wzmacniał we mnie poczucie wolności.

Kiedy wreszcie wróciłem do hotelu i udałem się na spoczynek, zapadnięcie w sen okazało się niemożliwe. Po grobowej ciszy nocy spędzonych w celi, hałas ulicznych samochodów był wręcz nie do zniesienia. Całą noc leżałem bezsenne, myśląc i wstając od czasu do czasu tylko po to, by wyrzucić przez

okno. Poza tym ogrom pokoju (małego pokoju hotelowego) i możliwość wyciągnięcia się swobodnie na dużym podwójnym łóżku były zbyt luksusowym doznaniem, by stracić je przez sen. Miękkie poduszki, prześcieradła, białe ręczniki na wieszaku, bieżąca ciepła i zimna woda, dywan, koronkowe zasłony – wszystko to fascynowało mnie. To prawda, że były to rzeczy pospolite, niezauważalne w zwykłym życiu, ale ja dopiero co wyszedłem z więzienia i wszystko odbierałem inaczej. Pamiętam, że leżąc w półmroku, mówiłem do siebie. Naprawdę wstydziłbym się zapisywać niektóre z rzeczy, które wtedy wygadywałem. To było coś jak bełkot dziecka.

ROZDZIAŁ IV

Przed piątą rano byłem już na nogach. W ogóle nie zmrużyłem oczu. Ubieranie się samo w sobie było rodzajem snu na jawie – snu, który niejako rekompensował mi brak naturalnego snu. Już po raz drugi włożyłem ubranie wolnego człowieka i robiłem to powoli, świadom każdego ruchu, jakby zaprzęgając konia lub wykonując jakąś czynność, do której nie byłem przyzwyczajony.

Wyszedłem na Market Street i ruszyłem w kierunku budynku Ferry. Poranne powietrze różniło się od tego w San Quentin. Tego ranka wyszedłem z dobrze wentylowanego pokoju, a jednak świeże powietrze wydawało mi się bardziej ożywcze niż to, z poprzedniego dnia, kiedy pierwszy raz wyszedłem z celi.

Pieszyc i samochodów było niewiele. To było coś zupełnie innego niż dudniący gwar i napięte twarze tłumów z poprzedniego dnia i nocy. W pobliżu Second Street zaczepił mnie mężczyzna z brudnym kołnierzem, w kapeluszu i w zapiętym płaszczu, prosząc o jałmużnę na jedzenie. Wyglądał tak, jakby też nie spał całą noc, ale z innego powodu. Gdy skończył mówić, rozpoznałem, że był to „jeden z naszych” i wyraźnie przygarbił się, gdy zwróciłem się do niego po imieniu. W więzieniu zawsze chwalił się, jak to świetnie szło mu na zewnątrz, jakie pieniądze zawsze „wyciągał” w swoim fachu. Zapomniałem co powiedziałem, żeby go uspokoić, bo zdawałem sobie sprawę, że gdyby się zorientował kim jestem, przeszedłby obok mnie obojętnie, udając, że mnie nie zna. Kiedy jednak rozstaliśmy się po kilku minutach pogawędki – a raczej powinienem powiedzieć: mojej gadaniny i jego trajkotania, bo było mu zimno – jego zakłopotanie zniknęło.

Na końcu Market Street skręciłem w lewo wzdłuż nabrzeża i wyszedłem w miejscu, gdzie grupa sztauerów gorączkowo ładowała parowiec.

Mężczyźni byli w biegu, niezależnie od kierunku w którym się poruszali, a pot kapał z nich obficie, a ja nie wiedziałem dlaczego tak pędzą – świat wydawał się taki spokojny i senny, a słońce wschodziło tak powoli. Od człowieka, który najwyraźniej kierował grupą, dowiedziałem się, że pracownicy ci mieli stawkę godzinową i pracowali już od pierwszej w nocy. Szczególnie jeden człowiek, którego kości szyi uwydatniały się na tle czerwonej flanelowej koszuli, zapadł mi w pamięć. Dyszał jak pies i wydawał się nieprzystosowany do pracy. Pośpiech, jak się dowiedziałem, był spowodowany dwoma przyczynami: tym, że każdy człowiek miał wykonywać w ciągu każdej godziny jak najwięcej pracy oraz tym, żeby statek mógł odpłynąć jak najszybciej, zmniejszając w ten sposób zarobki załogi, a przynajmniej niektórych jej członków. Oba powody miały uzasadnienie finansowe, a nie humanitarne.

Ich ciągłe wyścigi w drodze w górę i w dół, tam i z powrotem w końcu stały się dla mnie monotonne – i poszedłem. Gdy tak szedłem dało mi to wszystko do myślenia.

Przypuśćmy, że wyszedłbym z więzienia bez pewnej pracy i musiałbym zmierzyć się z taką robotą! Jak długo bym wytrzymał? Nie tylko należałem do wielkiej armii ludzi, którzy zostali zmuszeni do życia na pożywieniu, którego śmiertelna monotonia szkodziła jego skromnym wartościom odżywczym, ale także, podobnie jak wielu innych, byłem niezdolny do wykonywania takiej pracy pod względem budowy ciała i warunków fizycznych.

Zegar stojący przy końcu nabrzeża poinformował mnie, że była godzina siódma rano. Postanowiłem zjeść śniadanie i pójść do biura.

– Przejdź się dobrze po mieście, przyzwyczaj się do wszystkiego. – Taką radę dał mi mój pracodawca. – Nie spiesz się zbytnio. Masz wiele do przyswojenia; nie jesteś na bieżąco, nie nadążasz jeszcze za sprawami.

Choć zdawałem sobie sprawę, że to prawda, czułem urazę. Chciałem sprawić wrażenie, jakbym cały czas był integralną częścią tego świata.

Obecnie myśl ta wywołuje u mnie uśmiech, ponieważ po ponad dwóch latach wolności, wielu doświadczeniach i niezwykłych sytuacjach, wciąż

jestem nieprzystosowany, wciąż, w pewnym stopniu brakuje mi cech, które kiedyś były dla mnie naturalne.

Państwo płaci przecież swoją karę za nielogiczne traktowanie tych, którzy sprzeciwiają się jego porządkowi.

Wdrapałem się na wzgórze Powell Street i przyciągnęły mnie upiorne ruiny dawnej arogancji. Źródło, które było ukryte pod ogromną stertą gruzu, posyłało podstępny strumień w dół do wypłaszczenia gdzie widać było plamę zieleni. Znaczenie tego miejsca było dla mnie bardzo ważne. Zobaczyłem przyszłość wielkich miast: rozpadające się ruiny, strumienie wody, szalejące chwasty i leniwe owady. Obraz ten stanowił zaskakujący kontrast w stosunku do spoconych marynarzy, cały dzień od samego świtu obrażających czas, licząc go w „godzinach”.

Nieco dalej zobaczyłem obdartego kota, który kiedyś był biały, ale teraz miał kolor swojej najłatwiejszej zdobyczy – myszy. Poza kilkoma żałosnymi miejscami, gdzie próbował się wylizać, przypominał karykaturalnego włóczęgę. Piszę „karykaturalnego włóczęgę”, bo prawdziwi włóczędzy są czystszy, niż się ludziom wydaje. Myją się i golą tak samo jak inni ludzie, choć nie ubierają się tak konwencjonalnie, ani nie jedzą tak często. Stałem i przyglądałem się kotu przez dłuższą chwilę.

Siedział na resztkach czegoś, co kiedyś było kuchennym kotłem i patrzył na miasto pogrążone w tragicznym smutku. Zastanawiałem się, co stało się z wszystkimi kotami, które w wyniku wielkiej pożogi San Francisco stały się bezdomne. Psy, oczywiście, podążyły za swoimi właścicielami w szalonej ucieczce, ale koty są pozytywnymi bohaterami, nie podążają za nikim, chyba że za zapachem jedzenia. Psy wiernie podążają za człowiekiem choćby nawet do śmierci głodowej. Koty nie są tak „cywilizowane”, cokolwiek to znaczy. Zastanawiałem się, ile kotów „wróciło” do dawnych domów i miauczało aż do nędznej śmierci w tych okropnych dniach, kiedy silni sercem mieszkańcy San Francisco na nowo przystosowywali się do życia. Ten kot najwyraźniej „wrócił” i nauczył się być włóczęgą – oto zadziwiający przykład umiejętności przetrwania najsilniejszych.

To mi się podobało – zarówno część włóczęgowska, jak i wierność pamięci o darmowym pożywieniu. Nawet włóczędzy, jak wiecie, kiedyś urosli dzięki mleku innych, mocno pracując swoimi pulchnymi małymi rączkami, aby

zwiększyć jego podaż (któż widział, żeby dziecko nie używało dłoni podczas ssania piersi matki?). Tak, ten nędznie wyglądający kot przyciągnął mnie, stał się wszechświatem.

Ale kiedy zszedłem z popękanego i nierównego chodnika i spróbowałem go do siebie przywołać, schował się w jamie, jak piesek preriowy w swojej norze. Odwróciłem się i przeszedłem dwie przecznice, zanim przyszło mi do głowy, że w zasięgu moich możliwości i środków była pomoc temu zwierzęciu. Pomysł, który pojawił się w mojej głowie był taki, że mógłbym kupić i przynieść mu trochę jedzenia.

Szukając sklepu, w którym mógłbym zrealizować ten plan, natknąłem się na kilku mężczyzn czyszczących cegły. Zauważyłem, że niektórzy z nich nosili szorstkie rękawice, a ci, którzy nie mieli rękawic, mieli popękane lub krwawiące ręce. Dowiedziałem się, ile im płacono za sto wyczyszczonych cegieł – zapomniałem już, jakie to było wynagrodzenie, ale było poniżające, a do tego inspektor pracy zwykle potrącał trzydzieści procent zarobku jakoby za „niedokładność”. Ci, którzy nie mieli rękawic, byli nowicjuszami, dopiero się uczyli i pracowali za „cenę posiłku”.

Wciąż szukając sklepu na rzecz kota, natknąłem się na kolejną scenę. Była to mała chatka w środku blokowiska, które zrównano z ziemią, by postawić tam pałacowe rezydencje. Rudera z oknami zakrytymi papierem, drzwiami i kominem poskręcanym jak kroki pijanego, ale był to dom, tak samo jak były nim te „rezydencje”. Dziwne, że w tym małym słowie „dom” mieści się tak wiele rodzajów „mieszkań”. Naprawdę jest to największe małe słowo w języku ludzkości, i nie możemy przeoczyć faktu, że zwierzęta też mają domy, niektóre z nich lepsze niż te zajmowane przez naszych bliźnich. Kiedyś znałem pewnego nowojorskiego dziennikarza, który spał pod nabrzeżem, gdzie przypływ, w wietrzne zimowe noce, posyłał na jego prowizoryczne łóżko lodowate fale. Więzienne prycze byłyby dla tego faceta niebem.

Czy zapomniałem o moim apelu o humanitarne traktowanie więźniów, zapytacie? Wcale nie. Ten dziennikarz w końcu trafił do więzienia i właśnie wtedy, gdy tęsknił za tak zwanym „domem” pod nabrzeżem – opowiedział o swoim chłopięcym wychowaniu, o tym, jak radził sobie w świecie na początku odgrywania swej roli w teatrze życia.

Mała rudera wyróżniała się jeszcze w inny sposób. Była ogrodzona i miała ogródek kwiatowy. Dotyk naturalnego koloru na tle ludzkich ruin i spustoszeń był jak marmurowe arcydzieło w samym środku plamy błota. Czy to nie sprzeczność?

W końcu znalazłem mały sklep mięsny i kupiłem „kocie mięso” warte dziesięć centów. Ale kiedy wróciłem do miejsca, w którym widziałem wspomnianego zwierzaka, nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Podszedłem do zardzewiałego kotła i położyłem zakup w miejscu, gdzie wcześniej siedział kot. Gdy cofnąłem się, zobaczyłem na palcu skrawek mięsa. Przykleił się, gdy rozpakowywałem paczkę. Ogarnęła mnie fala myśli.

ROZDZIAŁ V

Pewna PANI, którą poznałem przypadkowo przed moim osadzeniem w więzieniu, przysłała mi książkę, a ja, odczuwając intelektualny głód, przeczytałem ją. Nie będę mówił, co to była za książka, nie chcę jej promować. Jestem głęboko przekonany, że to, co przemawia do ciebie jako prawda, istotnie jest dla ciebie najlepsze.

Mięso! Jadłem je przez całe moje życie – to znaczy do trzydziestego pierwszego roku życia – bez zastanowienia. A potem, po przeczytaniu książki przysłanej mi przez wspomnianą panią, przeczytałem jeszcze *Ewangelię Buddy*, *Mądrość Starożytności*, *Światło Azji*, *Głosy z ciszy*, *Upaniszady*, *Tajemną naukę*, *Biblię*, *Naukę i zdrowie* i inne rewelacje. Czytałem również *Sny Olive Schreiner* i byłem zafascynowany jej opowiadaniem pod tytułem „Łowca”.

Dzięki tej lekturze i innym studiom przekonałem się o trzech rzeczach: po pierwsze, że człowiek ma nieśmiertelną duszę; po drugie, że rządzi nim ściśle prawo zadośćuczynienia; po trzecie, że odbieranie życia, z wyjątkiem osobistej samoobrony, jest złe. Dla mnie słowo „życie” stało się wszechogarniające i poczułem, że nie mogę dłużej być stroną w odbieraniu życia w jakiegokolwiek formie. Czułem też, że przyjmowanie do ciała fizycznego czegokolwiek, co nie jest niezbędne dla jego duchowego wzrostu, jest zaproszeniem dla krzywd i kopniaków wynikających z prawa kompensacji. W tym czasie gdy byłem w więzieniu, jadłem mięso i używałem tytoniu. Postanowiłem najpierw powstrzymać się od używania tytoniu – po piętnastu latach palenia papierosów.

Ci, którzy palili przez piętnaście lat i próbowali rzucić, docenią to, co napiszę poniżej; natomiast ci, którzy nigdy nie używali tytoniu, będą prychać z samozadowoleniem i zastanawiać się, dlaczego tak strzępię język. Ale przeciętna kobieta poproszona o zrezygnowanie z gorsetu, rózu czy

herbaty będzie się buntować, podobnie jak przeciętny mężczyzna poproszony o wyrzeczenie się tytoniu, alkoholu czy krochmalonego kołnierzyka. Podjąłem decyzję, aby rzucić palenie. Używałem go tak długo, że stał się dla mnie fizyczną koniecznością, czułem głód – a przynajmniej tak mi się wydawało. Zdawałem sobie sprawę, że będzie to trudna walka, ale powiedziałem sobie: „Jeśli ci się nie uda, popełnisz psychiczne i moralne samobójstwo; nie jesteś już wolną istotą, ale niewolnikiem”. Z tą myślą przestałem palić, przestałem całkowicie używać tytoniu. Dziesięć dni później dostałem silnego krwotoku z płuc, którego nie powstrzymało jedzenie soli. Wezwano lekarza więziennego, który podał mi szklankę bezbarwnego płynu, sprawdzającego przepływ krwi. Po ustąpieniu krwotoku doszedłem do wniosku, że natura wydalila resztki trucizny z mojego ciała i utrzymywałem tę myśl w umyśle aż do całkowitego ustąpienia pragnienia tytoniu. Czułem się jak mistrz, jak ktoś, kto pokonał to, co wydawało się nie do pokonania, w najbardziej niesprzyjających okolicznościach, w miejscu, gdzie tytoń był jedyną pociechą.

Ale nie w pełni usatysfakcjonowany, postanowiłem podjąć inne wyzwania, postanowiłem, że nie będę jadł mięsa. Zacząłem więc żyć na chlebie, ziemniakach i fasoli. Kiedy owa pani, która przysłała mi tę pierwszą książkę, dowiedziała się o tym postanowieniu, napisała do mnie i próbowała mnie odwieść od tego zamiaru. Mimo że sama była wegetarianką, nie była fanatyczką i doskonale zdawała sobie sprawę, że ludzki układ trawienny, który dotychczas był karmiony mięsem, nie może nagle przestać go spożywać, nie mając odpowiednich substytutów – orzechów, świeżych warzyw i owoców, mleka, jaj i rozmaitych roślin. Wyznawcy innych religii lub wierzeń ucieszyliby się z czyjegoś nawrócenia w takich okolicznościach, ale ona się sprzeciwiła. „Poczekaj, aż będziesz w pełni wolny i będziesz mógł zdobyć odpowiednie pożywienie” napisała, „w obecnej sytuacji to zaszkodzi twojemu zdrowiu”.

Byłem jednak uparty i, pomijając moje nowo nabyte przekonanie o słuszności wegetarianizmu – na co wskazywała pożyteczna praca wykonywana przez konia, renifera, słonia, wielbłąda i woła – chciałem udowodnić, że mam „silną wolę” i zdolność do realizowania swoich przekonań.

Po kilku miesiącach od wprowadzenia tej skromnej diety postanowiłem jeszcze bardziej sprawdzić swoją „wolę” i zdecydowałem się na trzydniowy post. Tak też zrobiłem i wtedy poczułem, że jestem „silny”, że jestem panem swojego ciała.

Przez cztery lata żyłem na chlebie, ziemniakach i fasoli, z okazjonalnym daniem z suszonych owoców, a potem zachorowałem na tyfus. Po zdiagnozowaniu mojego przypadku lekarz więzienny powiedział mi: „jedz jak najmniej odcedzonej zupy i mleka, które ci damy; im mniej weźmiesz do żołądka, tym lepiej dla ciebie”.

Wierzyłem, że wie, o czym mówi – znał doświadczenia tysięcy lekarzy i miliony przypadków, na których mógł się oprzeć – więc postanowiłem wstrzymać się od jedzenia. Pomimo powzięcia tego działania z mojej strony, gorączka stopniowo wzrastała, aż osiągnęła blisko 106 stopni (ponad 41 stopni Celsjusza) i zostałem poddany zimnym kąpielom. Opisanie odczuć przy tak wysokiej temperaturze jest niemożliwością, ale pamięć o tamtych lodowatych kąpielach wciąż jest we mnie przejmująco żywa. Każdy dotyk strasznej gąbki był jak nóż wbijany w moje ciało. Nigdy nie zapomnę tego doświadczenia. Do tamtej pory śmiałem się na słowo „nerwy”, od tamtej pory żałowałem, że w ogóle umiałem się śmiać.

Minęły cztery lata, odkąd ostatni raz jadłem mięso lub tknąłem tytoń, ale kiedy byłem na rekonwalescencji, obserwowałem, jak mężczyzna w sąsiednim łóżku – chory na gruźlicę – palił papierosy, i pewnej nocy poprosiłem go, żeby dał mi swój worek z tytoniem i bletkami. Podpierając się na łokciu, zwinąłem papierosa i zapaliłem go. Po kilku „zaciągnięciach” opadłem z powrotem na poduszkę, oszołomiony, ale szczęśliwy, z poczuciem, że na nowo złapałem kontakt z życiem. Następnego dnia zapaliłem dwa razy, nie myśląc o możliwych konsekwencjach. Wszystko, co przeszło mi przez myśl było to, że w ten sposób pocieszę się nieco podczas monotonii – nabierania sił – do chodzenia, a potem wznowię moją abstynencję.

Niestety, od tamtej pory palę papierosy, choć ciągle obiecuję sobie, że je rzucę. Ale za każdym razem, gdy podejmowałem taki wysiłek, łagodziłem porażkę wymówką, że to przez podenerwowanie. Kiedy byłem już

wystarczająco silny, lekarz zamówił dla mnie rosół i wypilem go. Był na mięsie, ale nie przejmowałem się tym, bo dzięki niemu czułem się lepiej.

Kiedy nadszedł dzień mojego wypisu ze szpitala, wyszedłem zdecydowany powrócić do mojej dawnej abstynencji, ale nie zrobiłem tego. Do dnia dzisiejszego używam tytoniu i jem mięso; to pierwsze nadmiernie, to drugie umiarkowanie.

Mając wciąż w pamięci moje „ideały”, opuściłem San Quentin pełen determinacji, aby powrócić do dobrych postanowień, ale, jak już wspomniałem, befsztyk zjadłem już na statku płynącym do San Francisco, a następnie zapaliłem papierosa. Wyszedłem pełen najwyższych przekonań moralnych i zdecydowany żyć zgodnie z nimi, ale nie udało mi się, choć to silne poczucie porażki, które odczuwałem i nadal odczuwam, może zwiastować ostateczne zwycięstwo.

ROZDZIAŁ VI

Tej drugiej nocy w ogóle nie położyłem się spać. Bałem się, że coś mnie ominie, że będę musiał przeżywać każdy miesiąc tego, co nazywamy czasem, w pełnym opętaniu zmysłów. Wielu mężczyzn, którzy odbyli długie wyroki w więzieniu, powiedziało mi, że czuli się podobnie, że nie mogli spać w pierwszym tygodniu po wyjściu na wolność, ponieważ za bardzo rozkoszowali się słyszeniem, widzeniem, smakowaniem i ogółem „czuciem” – odczuwaniem zmysłowym.

Zamiast udać się na spoczynek, chodziłem po ulicach długo po północy. Wczesnym wieczorem spróbowałem pójść do teatru, ale nie wytrzymałem tam długo – przebywanie w nim za bardzo przypominało to zamknięcie się w sobie, bycie w tłumie, za który myśli jeden mózg. Chciałem sam coś zobaczyć, pomyśleć i poczuć. Kiedy przecisnąłem się do nawy i przeszedłem po pochyłości do *foyer*, odczułem brak harmonii, a kilka osób patrzyło na mnie ze zdziwieniem graniczącym z dezaprobatą.

Na ulicy wziąłem kilka głębokich wdechów i poczułem się wolny. Zapytałem o drogę do Misji i zacząłem tam iść. W San Quentin słyszałem, jak wielu mężczyzn opowiadało o Misji. Mówili o niej w różny sposób, ale zawsze jakby to było ich ukochane miejsce.

Na skrzyżowaniu ulic Market i Valencia zauważyłem hotel Valmar. Połączenie dwóch nazw ulic w nazwę hotelu było dziwne. Zastanawiałem się, dlaczego ten pomysł nie został zastosowany w innych miejscach.

W samej Misji ludzie różnili się od tych na Market Street. Mężczyźni wydawali się bardziej męscy a kobiety bardziej kobiece. Na ulicy stały setki par, niektóre z nich z wózkami. Wszyscy byli wygodnie ubrani. Wielu mężczyzn miało na sobie miękkie koszule i czapki, podczas gdy dziewczęta i kobiety były subtelnie atrakcyjne w rozpuszczonych włosach. Często dziwiłem się, że kobiety skłonne są marnotrawić swoje naturalne piękno

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

